

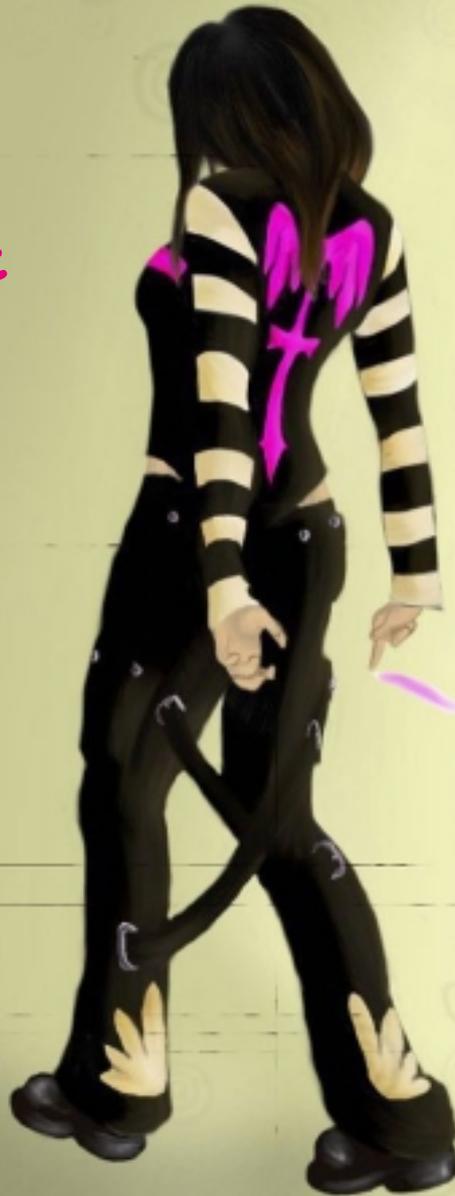
CYBERCORE 8

Woman

inaction.net

Serwis prezentujący prace kobiet zajmujących się zawodowo lub amatorsko grafiką, webdesignem, fotografią, malarstwem. WIA to galerie świetnych, różnorodnych pod względem techniki i treści prac w doskonałej oprawie graficznej. WIA to także katalog odnośników i zapowiedzi wydarzeń... Polecam.

(Więcej o WIA w kolejnym CC)



Grafika: Katarzyna Koleta-Kwietniewska

A w numerze:

Przepis na e-związek, Grono.net

Era nowe horyzonty, F9/11,

Uśpieni, KalEka, i inne różności

Witam po raz ósmy

Właśnie przeglądasz kolejny numer CyberCore. Mam nadzieję, że jego zawartość i nowy lejał przypadną Ci do gustu. Odrodzony CC to większa częstotliwość i nowi autorzy. A już niedługo zapowiadane od dawna zmiany.

Tradycyjnie czekam na opinie na temat numeru, oraz wszelkie propozycje współpracy dotyczące zarówno zamieszczenia w numerze tekstów, zdjęć i innej twórczości, jak i np. wzajemnej reklamy. Zapraszam również osoby zainteresowane wydaniem większych tekstów w formie publikacji elektronicznej.

Kontakt: cybercore@gazeta.pl, dis-o2@tlen.pl

Życzę przyjemnej lektury.

dis



W tym numerze nie piszemy

- O śmierci Czesława Miłosza - bo nie będziemy konkurować z „Gazetą Wyborczą” i „Tygodnikiem Powszechnym”. „Nasz Dziennik” - jak doniosła „GW” - umieścił małe i w dodatku nieprawomyślne info dopiero na stronie 4. - z nim też nie będziemy konkurować.
- O „Przystanku Woodstock” - bo nie będziemy konkurować z całą masą młodzieżowych piosenek, ani gazetami silącymi się na „Analizę zjawiska”.
- O osobistych kłopotach Lumpiatej - bo nie będziemy konkurować z „e-vivą” o ile taka kiedykolwiek powstanie.
- O upadku „City Magazine” - bo póki był też z nim nie konkurowaliśmy.
- O reaktywacji „Lampy” - bo mamy innych kumpli.
- O sytuacji gospodarczej w kraju, politycznej na świecie i militarnej w Iraku - o tym piszą już chyba tylko ci co muszą.
- A o „Przekroju” napiszemy tylko tyle, że z tamtąd zerznięty jest ten pomysł.

Epitafium dla Barda

Czy ktoś jeszcze pamięta, że 10 kwietnia zmarł Jacek Kaczmarski?

News przeszedł przez radiowe serwisy, początkowe strony gazet, wiadomości wszelkich telewizji. Sam składałem informację o śmierci Kaczmarskiego. Apla 30 procent szarości, „Odszedł bard Solidarności”, powiększ trochę zdjęcie.

Dwa dni wcześniej - tak, święta źle wpływają na świeżość gazetowych informacji - stałem gapiąc się bezradnie na serwujące wiadomość dnia radio. W wieku kiedy powinienem być Nim najbardziej zawascynowany, trzymałem się od Kaczmarskiego na dystans. Kojarzył mi się z solidarnościowym kombatanctwem, sektą krainy łagodności tudzież bandą zgredów i szpanerów z Piwnicy pod Baranami i okolic. Tylko gdzieś w głowie kołatały się strzępki „Raportu Ambasadora” z obejzranego przypadkiem przeglądu piosenki aktorskiej.

Wiele lat później, gdy szukałem owego „Raportu” na Audiogalaxy ściągnąłem przy okazji parę innych utworów, a potem wszystkie dostępne.

To co najbardziej mnie urzekło w piosenkach (piesniach?) Jacka Kaczmarskiego to sposób w jaki przy pomocy tekstu, głosu i dźwięków gitary, kreślił zarówno pojedyncze obrazy, jak i całe opowieści. Liryczne, epickie, sowizdrzalskie. Jeżeli komuś w tym kraju należy się tytuł barda, to właśnie Jackowi Kaczmarskiemu. Barda bez przymiotników. Wciąż co pewien czas wracam do tych utworów. „Kmicic”, „Oblawa”, „Nie lubie”. Początek „Krzyku” wciąż powoduje ciarki. Tylko „Mury” przewijam.

Dis

RE . KLAMA

**NOWESZANSE
.COM
.PL
/HOSTING**



widziałeś hosting
bez ograniczeń?
w takiej cenie?
z taką obsługą?
z gwarancją zwrotu pieniędzy?
z monitorowanym transferem?
bez kłamstw i mrugania okiem?
i naprawdę w TAKIEJ cenie?

podaj w zamówieniu hasło "cybercore"
dostaniesz 3 bezpłatne miesiące extra!

www.noweszanse.com.pl/hosting

Przepis na e-związek

Nie, nie czytałam „Samotności w sieci”. Ale czuję się upoważniona do wypowiedzenia się na temat poszukiwania w Internecie swojej drugiej połówki, bo – notabene wcale nie szukając – właśnie tam ją znalazłam. Ale zanim to nastąpiło, poznałam na własnej skórze uroki wirtualnych relacji męsko-damskich.

To były dawne, jeszcze sprzed blogów i Gadu-Gadu, złote czasy sieci IRCX. Jej uroki roztoczył przede mną jeden Niezamieszkalny, w którym – jak mi się wtedy wydawało – byłam całkiem zakochana, i który – do czego by się wtedy nigdy nie przyznał, bo łatwiej było pojechać do innego miasta i zawracać swoimi problemami miłosnymi głowę znajomym z Internetu niż zadzwonić do osoby mieszkającej dwa domy dalej i zaprosić ją na spacer – odwzajemniał z pewnym zaangażowaniem moje uczucie. Konsekwencje faktu wprowadzenia mnie w wirtualny świat były następujące: poznałam masę ludzi, z niektórymi utrzymuję kontakty do dziś, miałam kilka cyberseksualnych propozycji, byłam na kilku desperackich, choć czasem bardzo udanych, randkach w ciemno, flirtowałam tygodniami z paroma nieprzystojnymi, ale czarującymi facetami, a wreszcie w Zakopanem, na cyberzłocie, na który zabrał mnie pan Niezamieszkalny poznałam pana Zamieszkalnego i ku radości/oburzeniu/zazdrości wirtualnego otoczenia sprowadziłam go sobie do mojego miasta, by dzielić z nim do dziś stół, łóżko, koty i raty za samochód.

Myślę, że te skromne doświadczenia uprawniają mnie do przedstawienia w tym miejscu kilku swoich refleksji na temat związków, zachodzących się w Internecie. Chociaż nie jestem przekonana czy w dzisiejszych czasach relacje, nawiązywane w tzw. realu (jakoś nie lubię tego słowa, zwłaszcza w wymowie) i za pośrednictwem Internetu, tak naprawdę się różnią.

Tak, wiem, w Sieci łatwiej być uczuciowym oszustem, łatwiej uwodzić nie grzesząc urodą, łatwiej pokonać nieśmiałość. Wiem również, jak silnym afrodyzjakiem jest wyobrażenie zaklęta w słowach. Poznałam facetów, którzy w trakcie jednej sesji uwodzili kilka kobiet, poznałam dziewczyny, które w Sieci szukały bogatego męża (w tamtych odległych czasach stały dostęp do Internetu mieli przede wszystkim faceci z korporacji, a te jak wiadomo nieźle płacą). Tak to już jest. W czasach kompu-

terów Commodore też się to zdarzało. Internet daje jedynie poczucie panowania nad sytuacją. Wystarczy otworzyć byle jaką randkową stronę i Twój komputer pyta Cię, drogi Czytelniku: kogo chcesz poznać? (możliwe opcje: męczyzna, kobieta, inne), w jakim celu? (towarzystwo, matrymonialny, zaprzyjaźnienia się, uprawiania seksu, robienia remontu, grania w gry RPG, inne), jaki ma mieć kolor włosów? (nie widziałam, żeby jakiś portal uwzględnił ludzi bez włosów, może uznano, że „tysy” to określenie niepoprawne politycznie), ile ma mieć lat?, w jakim ma mieszkać mieście?, czy ma mieć własne mieszkanie? I tak dalej. Czekałam niecierpliwie na kolejne technologiczne usprawnienia: odrzuć posiadaczy owłosionych pleców, nie uwzględniaj facetów w kapeluszu, sprawdź czy myje siusiaka, zawsze ignoruj kobiety przy kości, pokaż stopień zaawansowania cellulitu, sortuj wyniki według przychodów.

Pamiętam moje pierwsze kroki w sieci IRC. – Tylko pamiętaj, nie umawiaj się z żadnymi facetami z IRCa – poradził troskliwie Niezamieszkalny. – Oni są w Sieci mili i uwodzicielscy, a w realu brzydki, mrukliwi i nieuprzejmi albo po prostu jednorazowo napaleni. – Mhm, będę pamiętać – obiecałam i zasiadłam przed monitorem z solennym postanowieniem, że jeszcze dziś zweryfikuję ten osąd.

Wieczorem miałam pierwszą randkę, na którą poszłam z założeniem, że będę facetką urodą i intelektem przewyższająca co najmniej o głowę, on na pewno się mną zachwyci, w związku z czym przynajmniej się dowartościuję i nabiorę sił, które tak mocno nadwerężał w tamtym czasie Niezamieszkalny. Więc poszłam. Wyluzowana. Tylko nie przewidziałam, że w knajpie będzie czekał polski Antonio Banderas. I to w dodatku wygadany jak Woody Allen, błystkotliwy jak Jerzy Pilch i pociągający jak magnes wielkości ruskiego czołgu. Przy tym znał swoją wartość i nie musiał niczego nikomu udowadniać. Chociaż nie należę do osób nieśmiałych, odebrało mi mowę. Gadałam okropne bzdury, oblałam się herbatą i w ogóle wypadłam blade, blade, blade. Oczywiście więcej się nie spotkaliśmy, chociaż wymienialiśmy od czasu do czasu poglądy w Sieci. Nie muszę dodawać, że randka, która miała mnie podnieść na duchu, mało mnie nie zabiła.

Ale nie traciłam wiary. Później poznałam jeszcze pewnego uwodzicielskiego 12-latkę

Testament 95

Jacek Kaczmarski (1957–2004)

*W trzydziestym ósmym roku życia
Pod koniec dwudziestego wieku,
Co nic już chyba do odkrycia
Nie ma ni w sobie, ni w człowieku –
Za czarne pióro i atrament
Chwytam, by spisać swój testament.*

*Za mną już liczba chrystusowa
Ofiarnym kozłom przypisana,
Kiedy niewinna spada głowa
Za cudze grzechy – czyli za nas,
By z życia się wymknąwszy sideł
Uschnąć w relikwie wśród kadzideł.*

*Przedemną dziesięć lat niepewnych,
Gdy każdy zmierzch mężczyzną miażdży,
Od wewnątrz pośpiech szarpie gniewny,
A z nieba mu znikają gwiazdy.
Który to przetrwa ten – dożyje
Zaszczytu, że sędziwie zgnije.*

*Mniej ważne – ile czasu trawisz,
Niż – z jakim trawisz go wynikiem.
Niejedną twarz mi los przypawił:
Byłem już zdraczą i pomnikiem,
Degeneratem, bohaterem,
A wszystkie twarze były szczere.*

*Patrzono na mnie przez soczewki
Miłości, złości, interesu,
Przeinaczano moje śpiewki
By się stawały tym, czym nie są.
Tak używano mnie w potrzebie
Aż dziw, że jeszcze mam ciut siebie.*

*Poza tym zresztą mam niewiele.
Wpływy przejadłem i przepiłem.
Conieco w duszy tkwi i w ciele
(Co duszy wstrętne – ciału miłe),
Więc nie zostawiam potomności
Kont, akcji ani posiadłości.*

*Pierwszej małżonce mojej, Ince,
Nim się wyrazi o mnie szpetnie,
Zostawiam nasze wspólne sińce –
Pamiętki z wojny wieloletniej.
Ja się przeglądam w tych orderach,
Bo to, co boli – nie umiera.*

*Zaś drugiej mojej połowicy
Niczego nie zapiszę za nic,
Bo choćbym nie wiem jak policzył –
I tak mnie za rozrzutność zgani;
Więc nim się zrobi krótkie spięcie –
"Kocham cię" – piszę w testamencie.*

*Także synowi memu, Kosmie
Niewiele mam do zapisania.
Nie wiem co będzie, gdy dorośnie:
Czy zada cios mi, czy pytania*

(przyszedł do mnie do pracy, robiąc mi wstyd całkiem serio), miłośnika tai-chi i skakania z mostów, bardzo sympatycznego fana „Ally McBeal”, z którym utrzymuję kontakty do dziś. Z tymi ostatnimi dwoma nie było żadnego iskrzenia, za to gadało nam się wyśmienicie – jakbyśmy się znali od zawsze. Później były jeszcze inne znajomości. Im dalej w las, tym więcej drzew – wkrótce nauczyłam się już bardzo dokładnie wybierać rozmówców, co znacznie ułatwił postęp techniczny.

Dzięki technologii i Internetowi okazuje się, że znalezienie mężczyzny/kobiety swoich marzeń, na dodatek w najbliższej okolicy jest bardzo proste. Rozpoczynamy nieśmiałą korespondencję, znajdujemy w sobie coraz więcej wspólnych cech, upodobań, marzeń. Odwlekamy pierwsze spotkanie w obrzydliwie nudną nieskończoność. W końcu nie wypada już dłużej czekać. I?

No właśnie dochodzimy do sedna czyli do konfrontacji w realu. Po pierwsze znaczna część osób zwyczajnie tchórzy i nie stawia się na pierwsze (a także drugie i trzecie) spotkanie, mając zawsze jakąś niezbitą wymówkę. A to bywa dla drugiej strony bardzo bolesne. Ale rozpoczynając wirtualny romans zawsze trzeba taki obrót spraw wziąć pod uwagę.

Jeśli spotkanie jednak się odbyło, mamy kolejny problem: żeby jeszcze było miło. To czy uda się, czy się nie uda, czy zaakceptujemy fakt, że 35-letni MuchoMacho nie ma z przodu jedyńki, a NapalonaAnia (19) trzęsie się ze zdenerwowania jak osika przy pierwszym pocałunku i nosi majtki typu mamasize (nowość, do nabycia w supermarkecie Real po cenie promocyjnej), zależy już tylko od chemii. Czyli jak w życiu. Upraszczam? Może. Ale mnie się udało. Udało się Marcie. I Heli. I Witkowi.

Dlatego przygotowałam podręczny poradnik dla początkujących poszukujących uczucia w pajęczynie Internetu. Może pomoże niektórym ominąć rafy wirtualnego morza namiętności.

1. Nic na siłę. Najłatwiej znajdziesz miłość nie szukając jej. Czyli jak w życiu.

2. Jeśli mówi Ci coś przysłowie o ryczącej krowie, omijaj osoby o imponujących nickach, takich jak BigBird, Daniel26, Dick30, Justyna69,

Nimfomanka23, Lolita. Poza tym takie pseudonimy jednoznacznie, więc możesz potem usłyszeć, że chyba od początku wiedziałeś/wiedziałaś, na czym stoisz.

3. Sam/sama też nigdy nie udawaj ucieleśnienia wszystkich fantazji fizyczno-intelektualnych płci przeciwnej. Pełne zawodu spojrzenie na pierwszym spotkaniu to cena, której nie warto płacić.

4. Jeśli ktoś ma w Sieci sławę notorycznego podrywacza, przy Tobie na pewno się nie zmieni. Nie licz na to.

5. Ludzie związani węzłem małżeńskim chętnie wirtualnie flirtują, ale rzadko się rozwodzą, zwłaszcza jeśli mają dzieci. Lepiej więc może zapomnij i o tym.

6. Jeśli ktoś nie przyszedł na umówione po miesiącach spotkanie, nie gadaj z nim więcej. Zastosuj bardzo przydatną funkcję IGNORE. I nie wnioskuj, czemu jest takim palantem.

7. Jeśli właśnie się zakochałeś/zakochałaś i to w Sieci, nie przesadzaj z opowiadaniem o szczegółach kolegom i koleżankom z kanału. Skoro istnieją wirtualne romanse, istnieją też wirtualne plotki i intrygi.

8. Złot to bardzo dobre miejsce na pierwsze spotkanie. Szczególnie, jeśli nie należysz do osób bardzo przebojowych. Oczywiście musisz się liczyć z faktem, że Rambo czy Dżenifer, okaże się lepszym obiektem uczuć. Rób swoje, ryzyko jest Twoje.

9. Nie zakładaj, z góry, że partner poznany przez Internet

jest ideałem. I nie udawaj, że Ty jesteś. Jeśli z początku okaże się nie taki, jak w Twoich wyobrażeniach, a zainwestowałeś/zainwestowałaś w tę relację trochę energii, po prostu daj mu szansę.

10. Unikaj osób, które wysyłają od razu zdjęcia swoich intymnych części ciała (nie miałam pojęcia, że jest ich tyle!!!). No chyba, że też to robisz. Nie oczekuj, że rozwinę tu ten temat. Po prostu mi zaufaj.

Na koniec truizm: owszem – większość związków z Internetu się rozpada. Ale rozpadają się też związki, które miały swój początek na obozie nurkowym, przy okienku na poczcie, w pracy, na bazarze i w tramwaju. Lajf is brutal. Więc przestańmy demonizować elektroniczne romanse, dobrze?

Róża

(roza_s@poczta.wp.pl / kizia.blog.pl)



Czekam niecierpliwie na kolejne technologiczne usprawnienia: odrzuć posiadaczy owłosionych pleców, nie uwzględniaj facetów w kapeluszu, sprawdź czy myje siusiaka, zawsze ignoruj kobiety przy kości, sortuj wyniki według przychodów.

*I próżno mi się dzisiaj biedzić,
Czy znajdę na nie odpowiedzi.*

*Paci zabawek nie pomnożę,
A zapisuję jej przestrożę,
Że choć się wiecznie bawić może –
Nie taką jej wyśniłem drogę.
Lecz snem nie będę córki dręczył:
Zjawi się drań, co mnie wyręczy!*

*Przykra to myśl, że – gdy czterdziestkę
Poranny wieszczy reumatyzm –
Tak łatwo w ten testament mieszczą
Wszystkie me lary i penaty:
Gitare, książki i zapiski,
Butelkę po ostatniej whisky.*

*Nic nie zapiszę więc Wałesom,
Pawlakom, Strąkom i Urbanom,
Co codziennością naszą trzęsą,
A ja ich muszę strząsać rano.
I przyjaciółki mej Grabowskiej
Grę z nimi biorę za słabostkę.*

*Zostały jeszcze pieśni. One
Już chcę czy nie chcę, nie są moje.
Niech cierpią los swój – raz stworzone
Na beznadziejny bój z ustrojem.
Szczęść ustrój, a słowami pieśni
Wciąż okładają się współcześni.*

*Ja z nimi nic wspólnego nie mam
(To znaczy z ludźmi, nie z pieśniami)
Niech sobie znajdą własny temat
I niech go wyśpiewają sami.
Inaczej zdradzą wielbiciele
Że nie pojęli ze mnie wiele.*

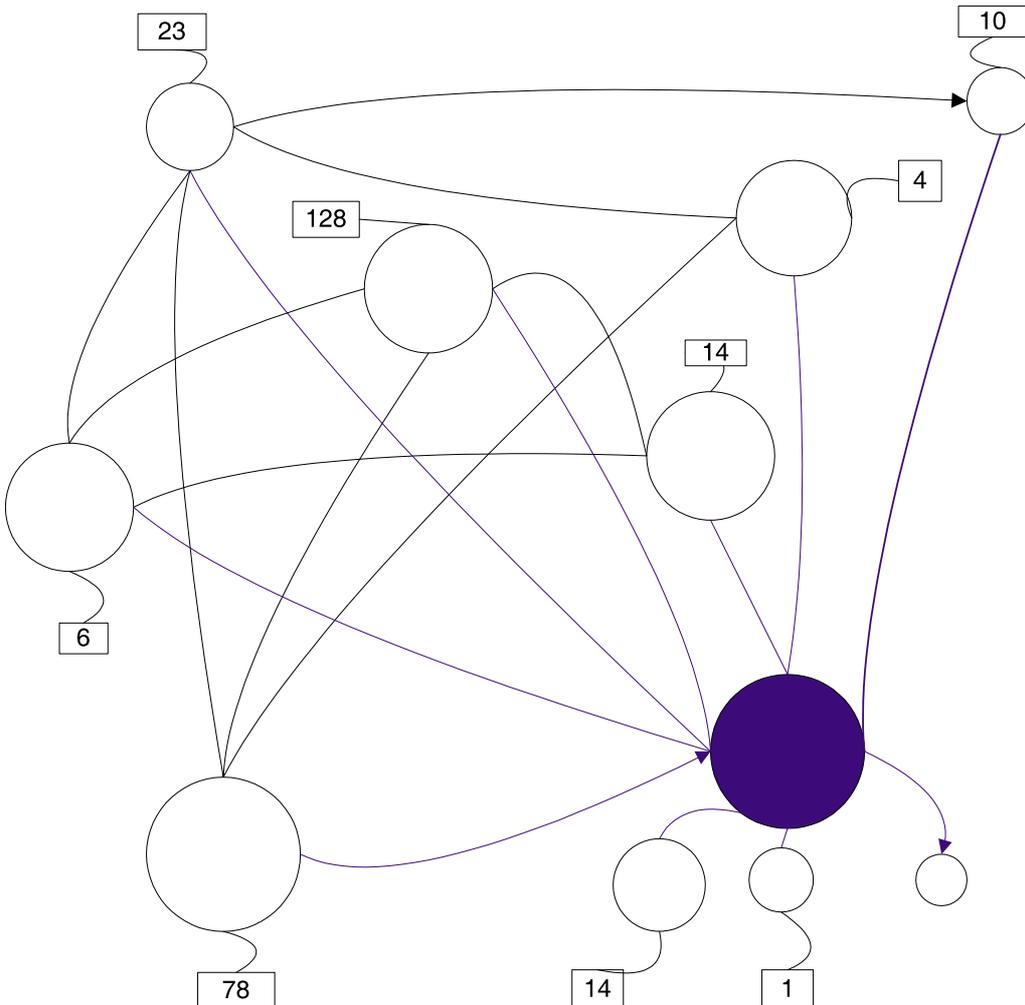
*Partnerzy także źródłem troski –
Cięży przyjaźni kamień młyński:
Niezbyst wysilał się Gintrowski,
Nazbyst wysilał się Łapiński.
Tyleśmy wspólnie znieśli modlitw –
Rozeszliśmy się bez melodii.
W ten czas tak marny, hałaśliwy,
Gdy szybki efekt myśl połyka,
Chóralne płaczą się porywy,
Muzyka wszelka w zgietku znika.
Lecz, chociaż z nieuchronnym smutkiem,
Každy niech swoją nuci nutkę.*

*O, nie samotne to nucenie!
Ani obejrzy się pustelnik –
Zjawią się wielcy ocaleni
Z Historii rusztów i popielnic
By szydzić wprzód, a potem kusić
I do sprostania im przymusić.*

*Bo nie przypadkiem przeszli czyściec
Odsiani z mód wartkiego ścieku
Po to by istnieć (a nie błyszczeć)
I wieść dysputę o człowieku.
W przepyszne wyciągną cię katusze*

Grono gron

czyli jak to robić pionowo



O budowaniu internetowych społeczności napisano już wiele, zarówno od strony socjologicznej jak i czysto marketingowej. Socjologowie podkreślają poziomość tego typu struktur, czyli budowanie wzajemnych relacji na wspólnych zainteresowaniach – rzadziej interesach – w przeciwieństwie do struktur poziomych, budowanych ze względu na miejsce zamieszkania. Rzeczywiście, wydaje się, że poziome, terytorialne, więzi społeczne stają się coraz słabsze. Można całe życie mieszkać w bloku, wszelkie relacje z sąsiadami sprowadzając do wymiany ukłonów i realizacji doraźnych potrzeb w postaci np. pożyczki udarowej drukarki. Co charakterystyczne, im mniejsza i jaśniej określona wspólnota, tym większe poczucie do niej przynależenia. W wielkim blokowisku, miałem centralnie gdzieś wszystko co zamykałem za drzwiami od mieszkania. Teraz – we wspólnocie dwudziestu rodzin – jest zupełnie inaczej. W dzisiejszych czasach nie ma już jednak konieczności częstych wspólnych działań. W miejsce relacji opartych na potrzebie, pojawiają się relacje oparte właśnie na wspólnych zainte-

Mały wycinek grona. Niebieskie kółko to ja, pozostałe to moi gronowi znajomi i ich wzajemne powiązania. Szczałki oznaczają zaproszenie do Grona. Kwadraciki z cyframi – liczbę pozostałych znajomych.

resowaniach. A pod tym względem o wiele więcej łączy mnie z kolegą z Poznania, czy koleżanką z Warszawy niż z ludźmi mieszkającymi tuż obok. A o nawiązaniu tego typu relacji najłatwiej w internecie. Swego czasu prowadziłem dosyć obfitą korespondencję. Na list czekało się parę tygodni. Teraz jedząc śniadanie rozmawiam przez tlen z ludźmi z różnych stron Polski. Kiedyś, aby się z kimś skontaktować, trzeba było wysłać list, ten, ktoś aby odpowiedzieć również musiał to zrobić. Gdy którejś ze stron się nie chciało kontakt nie dochodził do skutku. Ile czasu potrzeba by wysłać mejla? Ile by na niego odpowiedzieć?

Internetowe wspólnoty zazwyczaj tworzą się wokół czegoś (chciałoby się napisać gdzieś)

*Nie byle jakie łzy i dusze.
Dyskusja z nimi jest więc czysta.
Podstępna tylko z naszej strony.
Czym grozi nam antagonistą
Co przed wiekami pogrzebiony?
A dodam jeszcze myśl, że i my
Niedługo już będziemy z nimi.*

*To samo pod rozważę dając
Kochankom moim bez wyjątku:
Jakże do syta tym się najeść
Co końcem było od początku?
Imion rozkoszy więc nie podam,
Bo życia mało, czasu szkoda.*

*Dlatego też się kończyć godzi...
Nie wiem, czy jeszcze co napiszę,
Lecz tylem już wierszydeł spłodził,
Że jest czym okpić po mnie ciszę.
Zwłaszcza, że póki słońce świeci
Wciąż będą rodzić się poeci.*

*Jak ja bezczelni i bezradni
Spragnieni grzechu i spowiedzi
I jedną nogą już – w zapadni –
Dociekający – co w nich siedzi,
Co wciąż nieuchronności przeczy,
Ze może życie jest – do rzeczy!*

Grono gron

– są to np. uczestnicy forum przy serwisie o określonej tematyce itp. Pewnym wyjątkiem są tutaj czaty (czy kanały IRCa), gdzie również w przypadku stałych bywalców można mówić o wspólnotcie. Czaty, nie dość, że istnieją samodzielnie, to zazwyczaj są słabo dookreślone tematycznie.

Jak to ktoś ładnie zauważył internet staje się tzw. „trzecim miejscem”, po domu i pracy/szkole. Miejscem gdzie można „być” w pełni się realizując bez uwarunkowań charakterystycznym dla dwóch pierwszych miejsc.

Istnieje wiele prób, których celem samym w sobie jest stworzenie internetowych wspólnot. Powstają serwisy, których jedyną funkcjonalnością jest właśnie dostarczenie narzędzi zapewniających rozwój takiej wspólnoty.

Jednym z tego typu serwisów jest grono.net, twórcy reklamują go jako pierwszą w Polsce wspólnotę przyjaciół, chociaż wcześniej istniał chociażby epuls.pl.

Na pytanie co można robić w gronie, najczęstszą odpowiedzią jest – po prostu tam być. Owszem przydaje się tablica ogłoszeń, czy system wiadomości. Zapewne dużo ludzi korzysta też z gronowych forów.

Grono.net zśród innych tego typu serwisów wyróżniają dwa elementy. Pierwszy z nich to grupa użytkowników, drugi – konieczność posiadania zaproszenia.

Przede wszystkim grono nie jest przeznaczony dla nastolatków. Już sam oszczędny design nie zwiastuje coolzabawy. Wystarczy przejrzeć tablicę ogłoszeń by dojść do wniosku, że większość użytkowników stanowią dwudziesto-trzydziestolatki. Co ciekawe, wśród nich znajdują się chyba wszyscy święci polskiego internetu. Zapewne ten fakt rodzi fałszywą elitarności grona.

Drugim elementem jest możliwość dołączenia do grona jedynie po otrzymaniu zaproszenia od kogoś z jego członków. Jest to ciekawy zabieg, który powoduje, że niejako wszyscy gronowicze są ze sobą powiązani i – przynajmniej teoretycznie – nie ma wśród nich osobników przypadkowych. Piszę teoretycznie, bo każdy inaczej prowadzi zaproszeniową gospodarkę. Prawdziwą kontrolą, a zarazem prawdziwą elitarnością grona, byłaby konieczność poparcia zaproszenia przez określoną liczbę gronowiczów, oraz możliwość późniejszego wykluczenia danego osobnika.

Grono jest w istocie siecią mniej lub bardziej powiązanych ze sobą gron. Użytkownicy zapraszają do grona swoich znajomych, którzy często nie mają już nic wspólnego z tym, kto zaprosił ich „wprowadzającego”. Ciekawą rolę pośredników dzieli najbardziej oddalonych od siebie gronowiczów.

Twórcy wprowadzają wciąż nowe – w tym zapowiadane płatne – funkcje serwisu. Czas pokaże czy grono rozkwitnie, czy zwiędnie wraz z zamierającym na nim ruchem. **dis**

Gdzie spotyka się elita?

Elita w internecie? A jednak. Internet ma swoje elitarne grono. Nazywa się... grono.net. Jak przystało na elitę można tam wejść tylko przez zaproszenie. Inne predyspozycje typu wykształcenie, zarobki nie są istotne. Ważne, że ktoś nas zaprosił. A z tym zaproszeniem różnie bywa. Niektórzy zapraszają wybranych przyjaciół, inni licytują się w stylu kto ma więcej. Przyjaciół. Albo znajomych. Nieważne. Liczy się ilość. Ale nie u każdego.

O co chodzi w gronie? Szczerze mówiąc o nic. Zaprasza się znajomych tworząc przez to elitarny, zamknięty krąg. To swoiste państwo w państwie choć o trochę innym znaczeniu niż powszechnie taki stan rzeczy się u nas uważa. Tutaj są fora dyskusyjne, serwis ogłoszeniowy, wewnętrzna poczta (niestety jedna wiadomość może mieć ok 2500 tysięcy znaków co w momencie większej polemiki zmusza do dzielenia wiadomości na części lub... przeniesienie się na komunikator).

Plusem wewnętrznej poczty jest niezobowiązująca korespondencja. Ot, ktoś zamieścił ciekawy opis w swoim profilu lub zabawne ogłoszenie, które chcemy jakoś skomentować.

Co ciekawe większość użytkowników podpisuje się imieniem i nazwiskiem. Zupełnie jak w swoim gronie. A przecież to nadal internet. Tyle, że bardziej ludzki, bo tworzony przez znajomości, rekomendacje. To tu można poszukać co nas łączy z innym użytkownikiem (ilu pośredników – wspólnych znajomych, znajomego znajomych) dzieli nas od jakiejś istoty.

To tu można spotkać nawet Hirka Wrone. I sprawdzić czy mamy wspólnych znajomych. A jeśli są to bliskie powiązania można zaprosić obcą osobę do swojego grona. Tyle, że nie taką obcą. Zwykle znajomy znajomego jest naszym znajomym. I tak to się rozkręca.

Można także poszukać znajomych przez wyszukiwarkę. Ja w taki sposób znalazłam parę osób z mojego miasta znane mi z widzenia na uczelnianych korytarzach. Dając informację na tablicy ogłoszeń (mniej lub bardziej poważną) możemy liczyć na odzew, polemikę, ale także poważne propozycje jeśli ogłoszenie miało głębszy sens. Może to być sposób na odszukanie znajomych. W taki sposób znalazł mnie kolega z którym kontakt urwał się dobrych 6 lat temu.

Obok podawania nazwisk (zwykle prawdziwych!) bardzo chętnie zamieszcza się zdjęcia. I bynajmniej nie w celu efektywności czy innych epulsow.pl ze skalą ocen od 0 do 10. Osoby, które tak bardzo bronią swojej anonimowości i nie wdają się w infantylne umieszczanie fotek na serwisach

fotkowo – oceniających, na gronie zamieszczają swoje twarze niemal powszechnie.

I chyba na tym polega magia tego miejsca. Tu nikt nie ocenia, nie podrywa (a jeśli już to w sposób kulturalny), nie ma tu napalonych 16 latków, bo nikt takich do grona nie zaprosi. A nawet jeśli to przeciętny 16 latek nie znajdzie tu nic dla siebie i szybko znudzi się miejscem, gdzie nie może zabłysnąć poprzez swoją wulgarność.

Większość gronowiczów to ludzie powiedzmy średnio młodzi. Tu nie ma skandali, dziecięcych przepychanek, oceniania zdjęć, publicznego obnażania się, podglądania na zasadzie co dany użytkownik w tej chwili robi (vide: epuls.pl). Jeśli skandale mają miejsce to chyba tylko w zaciszu wewnętrznej poczty. Ale co to za skandal, jeśli nie wypływa on na forum publiczne. W końcu istotą skandalu jest rozgłos i wywołanie powszechnego oburzenia.

A jednak to nadal internet. Choc stwarza poczucie bezpieczeństwa, braku anonimowości. Dlaczego? Bo można wejść na zaproszenie? A jeśli ktoś zaprosił psychopatę? A on kolejnego? A my nadal czujemy się bezpiecznie.

Niektórzy zapraszają osoby znane wyłącznie z sieci (jak to było w moim przypadku). W moim gronie na 10 osób są tylko 2, które znam ze swiata rzeczywistego.

Jest wiele prawdopodobne, że cała sieć grona właśnie na tym polega. Bo niewiele czasu zajmie nam dojście do wniosku, że w gronie dużą część stanowią tzw. ludzie sieci, którzy właśnie w wirtualnym świecie są znani i aktywni. Czy więc możemy czuć się bezpiecznie? Czy to, że ktoś poda imię i nazwisko gwarantuje nam bezpieczeństwo? Równie dobrze ja mogę pod tym tekstem podpisać się Maria Montessori (kto wie kim była M.M.? :-)).

Niektóre osoby prowadzą legalną działalność w internecie. A reszta? Kim są? Czy warto im ufać? Czy warto zapraszać do swojego grona znajomych znajomego, których ciężko zidentyfikować? Nie chcę wyjść na niereformowalną staruszkę, ale w gruncie rzeczy ostrożności nigdy za wiele. Nawet w gronie. W końcu to także internet.

A razie potrzeby czy też kaprysu możemy... wykasować swoje konto z grona i zapomnieć o całej sprawie. Ale nim podejmiemy ten krok warto się tam rozejrzeć i w granicach rozsądku pobawić.

A! Gdyby ktoś mnie szukał jestem pod "shrew"
Patrycja "shrew" Kierzkowska
 (shrew@wp.pl)

Fahrenheit 9/11



F9/11 to mistrzostwo propagandy i manipulacji.

Nieczęsto się zdarza, żeby dokumentalny film wchodził na szerokie ekrany kin, w dodatku z takim szumem. Fahrenheit 9/11 to komercyjny sukces, popis propagandy, klika nieznanymi dla przeciętnego Polaka faktów i parę scen nad którymi warto się zastanowić.

Zacznijmy od faktów: Otóż najistotniejsze są ukazane w filmie powiązania klanu Bushów z arabskimi szejkami, chociaż zapewne w za oceanem rzecz już dawno była nagłaśniana przez media. Pojawiające się w kontekście tych znajomości nazwisko bin Laden nie budzi jednak we mnie dodatkowych kontrowersji zakładanych przez reżysera. Potrafię sobie wyobrazić, że nie wszyscy członkowie rodziny muszą dmuchać w tę samą trąbę, oraz że wewnątrz klanu obowiązują pewne zasady, wymagające np. mimo wszystko obecności na ślubach. A wypuszczenie rodziny bin Ladena ze Stanów również nie budzi we mnie większych emocji. Kto ma taką kasę i takie znajomości będzie starał się jak najszybciej opuścić państwo gdzie na dźwięk jego rodzowego nazwiska noże same otwierają się w kieszeniach. Przy czym uwaga reżysera (będzie o tym mowa dalej), że przy poszukiwaniach przestępcy oczywistością są przesłuchania rodziny jest całkiem nietrafiona. Nie ta skala, nie te układy, nie te metody.

F9/11 to mistrzostwo propagandy i manipulacji. Przykładem może być właśnie komentarz do wypuszczenia z kraju bin Ladenów. Otóż reżyser serwuje nam kilka scenek z filmów kryminalnych, gdzie detektywi wypytują rodzinę o podejrzanego. Przy czym komentuje takie działania jako oczywistość, pytając jednocześnie retorycznie co w takiej sytuacji zrobił Bush.

W ogóle lubi sobie reżyser použíwać na swoim (choć zwraca się do niego per. panie gubernatorze) prezydencie. Przede wszystkim po-

Fim wali jak młotem, zatem należy dać się powalić, niech zadziałają uczucia.

Wrażenie piorunujące. Najpierw siedzisz wbity w fotel przez półtorej godziny, potem, gdy tempo nieco spada, zaczyna rosnać temperatura. W końcu osiąga 911 st. w skali Fahrenheita. To temperatura, w której płonie wolność (...)

Żadnych okłasków, żadnych dyskusji na koniec, ale widać po reakcjach w czasie projekcji, że ludzie przeżywają to, co oglądają. Płaczą wtedy, kiedy trzeba, sikają ze śmiechu tak, jak trzeba. Dla mnie najśmieszniejszy moment to ten, kiedy przez ekran defiluje "Wielka Koalicja Chętnych", czyli zbieranina dwudziestu paru krajów z różnych zakamarków globu, mająca usprawiedliwić neokolonialną, nielegalną inwazję na Irak. Polska na szczęście nie została wymieniona, inaczej niż Republika (?) Palau (wiedziałeś, że taki kraj istnieje?), Islandia, Costa-RRika (...), wreszcie Rumunia (z nieodłącznym Drakulą) i ...marokańskie małpy-saperzy. Myślałem, że się ze śmiechu uduszę.

Ale film nie jest śmieszny. Śmiejesz się, bo Michael Moore to jajcarz, jakich mało. Ale tak naprawdę, to to jest film straszny. I taki ma być.

W czasach, w których Bush każe nam zapomnieć o Iraku w miesiąc po przekazaniu "pełnej suwerenności" Irakijczykom, sięganie przez Moore'a do wyborów prezydenckich 2000 roku to kompletna polityczna prehistoria. A jednak miała miejsce. To właśnie wtedy dzisiejszy "prezydent" Uzurpator pozwolił Tatusiowi załatwić sobie kolejną ciepłą posadkę, tym razem w roli światowego strongmena z całą furą guzików atomowych w kieszeni. Kiedy kolejni czarni kongresmeni wstępują na mównicę, by upomnieć się o wybranego przez naród amerykański prezydenta - Ala Gore'a, o ironio, tenże Gore, jako przewodniczący Kongresu, zmuszony jest ich uciszać, podczas gdy tchórzliwi senatorowie, Johna Kerry'ego nie wyłączając, potulnie chylą głowę przed nowym tyranem. Masz wrażenie, że właśnie w tym momencie rodzi się

przez serwowanie wyjętych z kontekstu fragmentów wywiadów, tudzież prezentowanie materiałów sprzed wejścia na antenę, gdy prezydent robi różne grymasy, a kosmetyczki pudrują mu twarz itp. Mogę sobie spokojnie wyobrazić, że np. wypowiedzi o sposobach spędzania czasu na rancho zostały nagrane przez jakieś amerykańskie „co za tydzień”. Z odpowiedniego dużego zbioru materiałów można wybrać wszystko. Podobno np. z samych cytatów z biblii stworzono kilka powieści, w tym kryminały i erotyk.

Szczytem manipulacji jest jednak ukazanie początku ataku na Irak poprzez zdjęcia bawiących się na placu zabaw irackich dzieci. Założymy, że odliczaniu do ataku towarzyszą nie śmiech dzieci, ale krzyki torturowanych więźniów, albo równomierny stukot buciorów maszerującej armii. Teraz inwazja wygląda trochę inaczej, prawda?

Kolejny przykład to ukazanie historii grupki statecznych amerykańców tworzących kanapowy NGO-s, którego funkcjonowanie polega na jedzeniu ciasteczek i niezbyt namiętnych dyskusjach. Otóż okazało się, że jeden z członków tej organizacji był infiltrującym ją agentem. Ha, ha, ha, popatrzcie jacy to straszni terroryści - pokazuje reżyser. Owszem, gdyby służby specjalne zrobiłyby im w pełnym rynsztunku wjazd na zebranie byłby to oczywisty przykład głupoty czy niekompetencji. Ale skoro nawet do mnie po atakach na WTC zadzwonił sondażowo pan z UOP-u, to opisana w filmie sytuację uważam za całkiem normalną.

Ciekawe, że reżyserowi w przeciagu kilkunastu minut udaje się nawet zaprzeczyć samemu sobie. Najpierw twierdzi, że Amerykanie z prowincji garną się do armii, gdyż jest to jedyna w miarę sensowna perspektywa, a następnie dowodzi, że właśnie owa młodzież z zapadłych dziur to ostoja patriotyzmu i sól amerykańskiej ziemi.

Otóż właśnie temat armii jest chyba najbardziej interesujący. Nieśmowite wrażenie robi na przykład telewizyjny spot namawiający do wstąpienia w szeregi US Army. Co ciekawe dynamiczna reklamówka ukazuje wojnę w konwencji shotera FPP. Doskonałe są również sceny z prowadzącymi werbunek żołnierzami piechoty morskiej. W jednej z nich zaczepiony chłopak twierdzi, że swoją przyszłość wiąże raczej z karierą muzyczną. Na to jeden z żołnierzy z miejsca pyta go czy kojarzy Shagiego, po czym opowiada, że ten również służył w armii. Ciekawa jest również wypowiedź żołnierza, który opowiada o tym, że do wewnętrznego systemu łączności można podpiąć CD. O wiele przyjemniej iść w bój, gdy w głośnikach dudni „Płońcie skurwysyny”.

Oczywiście wiadomo, że wojna nie jest fajna, ale nie często można zobaczyć na ekranie przestraszonych i zdezorientowanych żołnierzy. Żołnierzy patrzących na śmierć kolegów, i wciąż nie mogących zrozumieć, dlaczego - wbrew oficjalnej propagandzie - wywalany iracki naród wita ich nie kwiatami, ale strzałami zza węgła.

Podsumowując, F9/11 do interesujący film. Warto go zobaczyć, jednak należy wciąż brać poprawkę na ewidentną stronniczość twórcy.

dis

faszyzm; masz wrażenie, że możesz go dotknąć. Żałobna muzyka Cię dobija.

Tak zaczyna się ten obraz i nie zwalnia tempa przez następne 90 minut. Moore opowiada o przygotowaniach G. Busha do "wojny z terrorem". Najpierw lektura raportu pt. "Osama bin Laden chce uderzyć na terenie USA", a potem polowanie na kaczki, partyjka golfa, trochę wędkowania, zabawy z psami i udawanie drwala w lesie. Moore'owi Bush każe znaleźć sobie "prawdziwą pracę", choć sam spędza ponad 40% czasu na... wakacjach.

Potem już słynne czarne sekwencje z 11 września (dźwięk bez obrazu), reakcja (a właściwie brak reakcji Busha na atak), Afganistan, wreszcie Irak. W międzyczasie z ekranu syją się prawdopodobnie szokujące dla większości widzów fakty - powiązania klanu Bushów z klanem Saudów, rodziny saudyjskich dyktatorów, de facto "właścicieli" największych zasobów ropy naftowej na świecie. Jednak najpewniej jeszcze bardziej szokujące są powiązania Bushów, w tym przede wszystkim byłego prezydenta, z klanem bin Ladenów, co obecny Biały Dom zdaje się miał wielką ochotę ukryć przed światem. No i ta troska wyrażona przez podstawienie wycaraterowanych specjalnie na tę okazję samolotów. W ogóle Moore wydaje się dość niedwuznacznie sugerować powiązania Arabii Saudyjskiej z Al-Kaidą, a co za tym idzie, że sprawcami największego i najtragiczniejszego ataku na Amerykę w historii. (...)

Myślę, że nie ma sensu opowiadać szczegółowo poszczególnych wątków czy scen tego filmu. Jest on zrobiony tak, że wali jak młotem, zatem należy dać się powalić, niech zadziałają uczucia. Moore to mistrz w doprowadzaniu do łez, bez względu na to, czy są to łzy śmiechu, smutku czy bólu.

Powiem tylko, że najcenniejsze dla mnie w tym filmie są te rzeczy, o których nawet mocno zainteresowani tematem wiedzą bardzo niewiele. Przykładowo miasteczko Flint, w stanie Michigan, które sami jego młodzi mieszkańcy porównują do irackich miast po bombardowaniach. We Flint nie były potrzebne bombardowania. Wystarczyła polityka gospodarza jedyne supermocarstwa, tak wychwalanego za swoje osiągnięcia ekonomiczne tu, nad Wisłą. I związany z tym miejscem niezwykle ważny wątek niemal sekciarskiego wciągania biednej, bezrobotnej i najczęściej kolorowej młodzieży do armii, pod pretekstem zwiedzania świata, zrobienia kariery muzycznej, sportowej, czy naukowej. Cóż za brudna, ohydna działalność. Bravo, Maestro, za te zdjęcia!

W drugiej części filmu obserwujemy niesamowitą, głęboką metamorfozę prostej Amerykańskiej kobiety ze wspomnianego Flint, Michigan, która zmienia się w zdecydowaną przeciwniczkę wojny po stracie syna w Iraku. Wobec tragedii Lili Lipscomb, wszelki komentarz wydaje się zbyt czysty. Po prostu, czytając list od Syna i stojąc przed Białym Domem jesteśmy Lilą Lipscomb, a przynajmniej płaczymy razem z nią. (...)

I żeby nie było, że popadam w czarną rozpacz. Prawda zwycięży, to jedno jest pewne. Pytanie tylko - kiedy.

fragmenty recenzji z wortalu [Lepszy Świat](http://www.lepszyswiat.home.pl) (www.lepszyswiat.home.pl) zamieszczone za zgodą autora.

Król Artur

W najnowszej ekranizacji arturiańskiego mitu, postanowiono całkowicie Artura z arturiańskiego mitu oobedrzeć. Tak więc zamiast rycerzy Okrągłego Stołu mamy kompanię braci na służbie rzymskiego imperium, zamiast czarownika Merlina - szamana Piktów, a zamiast Grala, mitego papieżowi młodzieńca. Miecz wprawdzie wyciąga Artur z kamienia, z tym, że jest to kamień grobu jego ojca. Właściwie film ten jest zgrabną przygodową opowieścią ni to pseudohistoryczną, ni to fantasy (choć magii nie uświadczysz). Z ostatnich produkcji najbliższej mu do Gladiatora. Akcja toczy się wartko, patetyzm tylko trochę przeszkadza, a niektóre sceny - zwłaszcza widok ośmiorga łuczników na zamrażającym jeziorze - robią wrażenie. Całość oczywiście wieńczy ślub oraz okrzyknięcie Artura królem, aby choć trochę umotywować tytuł. Morał jest.

Shrek II

Nowy, rozreklamowany do granic przyzwoitości Shrek, wypada słabiej od pierwszej części. A i ta, po powtórnym obejrzeniu jakby mniej śmieszny. Oczywiście w dwójce nie brakuje ciekawych pomysłów, nawiązań do innych filmów (np. Władca Pierścieni) i odwołań do innych skojarzeń (np. akcja „zwijania” głównego bohatera przez straż). W oryginalnej wersji dodatkowy smaczek w postaci Banderasa jako kota-killera. Nota bene postać ta wypada wręcz żałośnie. Trochę dynamicznej akcji, trochę udanych wstawek osła. Fajna muzyka. Niewiele ponadto. Morał oczywiście też jest.

Harry Potter i więzień Azkabanu

Nie widziałem „środkowego” Pottera, jednak muszę przyznać, że te „Więzień” to w porównaniu z pierwszy filmem cyklu duża zmiana. Ciekawe zdjęcia (np. ujęcia kręcone z ręki), bardziej ponury (ale bez naglestrasnych momentów) klimat, bardziej wyraziści bohaterowie. Intryga ze standardowym „tonietenbyłży” zwrotem akcji. Interesujący - i bez logicznych wpadek - wykorzystany motyw podróży w czasie. Jednak końcówka filmu sprawia wrażenie, jakby ktoś wyciął z niej pół godziny. Bo niby dlaczego, tak od razu, zaufać poszukiwanemu za morderstwo? A tak przy okazji po jaką cholere grać w to q-cośtam w złą pogodę? Morał jest, ale dyskretny. Chyba w końcu skuszę się na książkę.

Pojutrze

Różne malownicze katastrofy spotykały naszą piękną planetę ze szczególnym uwzględnieniem USA, ale nowej epoki lodowcowej chyba jeszcze nie było. Miło popatrzeć na szalejące tornada, zamiecie, wreszcie nadchodzący totalny mróz. A to wszystko oczywiście przez brak szacunku dla Matki Ziemi. Cały kataklizm zfilmowano wspaniale, wrażenie robi zwłaszcza scena z zamarzającymi w locie helikopterami. W miarę pogarszania się pogody grupka ludzi chroni się przed mrozem w bibliotece, gdzie w oczekiwaniu na happy end pali książki z przerwą na gonitwę z wilkami po statku. Z odsieczą wyrusza - oczywiście w towarzystwie wiernych druchów - ojciec jednego z uwiecznionych - zaprawiony w arktycznych bojach naukowiec, który wykrącał całe zamieszanie. Jednocześnie połowa USA maszeruje do Meksyku, z wyjątkiem żony naukowca która czuwa przy chorym dziecku-pacjencie. Morał jest. Nawet kilka.

Obejrzał dis

Era nowego podzielenia



Pierwsi reżyserzy obserwowali rzeczywistość i z niej tworzyli filmy. Kolejne pokolenie obserwowało życie, oglądało filmy tych pierwszych i z tego kręciło własne. Trzecie pokolenie reżyserskie oglądało jedynie powstałe już filmy, zapomniało o rzeczywistości. Obecne, czwarte pokolenie, nie ogląda już nawet filmów, zatrzymuje się na technice, ona zastępuje wszystko: takie cezurę w rozwoju (?) filmu stawia w 10 on Ten Abbas Kiarostami.

Na festiwalu ERA NOWE HORYZONTY spotkanie wydarza się, po pierwsze, z powodu filmu, kina: artystycznego, niekonwencjonalnego i bezkompromisowego, po drugie: z kinem. Nie brakowało podczas festiwalu filmów metatematycznych, jak wspomniany 10 on Ten. W pewnym sensie dołącza do niego także mający tu swoją polską premierę obraz Złe wychowanie Pedro Almodóvara: przenikliwy, mówiący o tym, iż jesteśmy stworzeni do wygrywania życia, o piętnie, niesprawiedliwości. O geostwie. La mala educación zrealizowany został jako opowieść w opowieści, hiper tekstowa, snująca się meandrami, a przy tym prowadzona konsekwentnie i przefiltrowana przez to, co najistotniejsze w filmie i poza nim dla samego reżysera.

Almodóvar podzielił publiczność. Podobnie, jak Bruno Dumont z Twentynine Palms: ob-

razem o porozumiewaniu się ciałem, z naturalistycznymi, ale nie pozbawionymi piękna, scenami miłosnymi. Twórca Życia Jezusa nakręcił film drogi, ukazujący dysproporcje między kobietą i mężczyzną, poruszający prawdą odpowiedzi „pragnę cię” Davida na wcześniejsze „kocham” kobiety. David i Katia (a mamy tu do czynienia ze szczególną realizacją „paktu biograficznego”, gdyż w ich rolach Yekaterina Golubeva oraz David Wisak) z bazy hotelowej w Twentynine Palms wyruszają codziennie samochodem do parku narodowego. Niewiele rozmawiają: ona włada francuskim, on mówi po angielsku. To zatem film o pustyni, także uczuciowej, o skrajnościach, o wstydzie i bezwstydzie, o docieraniu się ciał i docieraniu do siebie przez ciała, o spieraniu się o ciała i ciałami. Wreszcie: o pragnieniu obecności i bliskości. Przypominają się słowa Jacques’a Derridy z Wiary i wiedzy: „...wymienimy obecnie z imienia trzy miejsca: wyspę, Ziemię Obiecaną, pustynię. Są to trzy miejsca aporetyczne: bez wyjścia lub pewnej drogi, bez szlaku ani kresu, bez zewnątrz, którego mapa byłaby przewidywalna (...)”. Także w wyprawie kochanków wpisują się pustka, błędzenie, potrzeba śladu i dopełnienia. Twentynine Palms operuje ciszą, ukazuje jej strukturę, przewlekłość kochania sprawia, że widz zaczyna postrzegać je jako chorobę. W tym obrazie o wspólności (wspólnym prowa-

dzeniu samochodu, jedzeniu i spaniu) z konsekwencją buduje Dumont napięcie. Widz przeczuwa rozstanie, podobnie, jak przeczuwają je bohaterowie. W ostatnich kilku minutach filmu dramat miesza z horrorem. Widz dostaje to, czego się nie spodziewa. Gwałt mężczyzny na mężczyźnie, dokonany na oczach kochanki, poraża swoją brutalnością. W hotelu w bestialski sposób David zabija Katię kilkakrotnym pchnięciem nożem. Twentynine Palms, nieobliczony na efekt, bezkompromisowy i przenikliwy, pokazuje z całą dobitnością, iż są sytuacje, z którymi nie można się zintegrować. Podróż w piaszczyste okolice zdaje się być wędrówką w siebie.

Arvo Pärt – 24 Preludes for a Fuge wpisał się w festiwalowy nurt filmów dokumentalnych, ukazujących sylwetkę, portret. Mieszkający w Berlinie estoński kompozytor, doskonale znany w Polsce, daje muzykom jedną dyrektywę: kochać każdy dźwięk. Dorian Supin buduje jego portret w sposób poetycki i konsekwentny. Póort jawi się jako spontaniczny, wesoły, energiczny. W 24 preludiach do fugi opowiada on o machaniu nogami podczas pierwszego koncertu, o tytoniowej szafce, o Dla Aliny, o picu herbaty, dźwiękowych wyborach, fortepianie, gitarze, o la, o jedzeniu pomidorów z cukrem, o auktakcie, wykładą odkrycie techniki tintinnabuli.



Twentynine Palms

Era nowego podzielenia

To wszystko dzieje się z towarzyszeniem muzyki: brzmia m.in. Dla Aliny, Cecilia, Como an-hela la cierva. Kompozytor pragnie stać się częścią muzyki, widz dąży do stania się - za jej pośrednictwem - częścią filmu.

Kolejnym obrazem, w którym, wbrew logice, chce się zamieszkać, jest ęłóThe Time We Killed, realizowany przez sześć lat debiut fabularny Jennifer Reeves, znanej z krótkometrażowego Chronic. Lisa Jarnot, poetka, gra Robyn, introwertyczkę, uciekającą od świata, porozumiewającą się z sobą i z nim z ukrycia, głównie za pomocą maszyny do pisania. Film jawi się jako zespół kadrów, mnogość obrazów, które chciałoby się zatrzymać i między którymi na próżno szukać spoiwa. Reeves tworzy bowiem film o pamięci, o tym, że „lepiej żyć w fikcji”, o poddawaniu się historii: tej swojej, tej pisanej. Stanowi wreszcie The Time we Killed pamiętnik zamknięcia i zamykania się, niewychodzenia z domu i dbałości o szczelność, ukazujący dramatyczną próbę ocalenia swojego świata, w którym, nolens volens, miesza się polityka z psychologią, swoje z cudzym, oswojone z obcym, dzisiejsze z minionym.

W umyśle Robyn spotykają się obrazy dzieciństwa, kapiącej wody, psa, atak na nowojorskie wieże, samobójstwo w kamienicy, morderstwo. Poetycki i mający silny dar oddziaływania film poparty został doskonale włączoną muzyką (Elliott Sharp, Marc Ribot, Zeena Parkins, Pitt Reeves). W Time we Killed śmierć narasta, kobieta dorasta do niej, jej słowa dobudowują paradygmat stworzony przez Sexton czy Plath:

Umieranie

jest sztuką jak wszystko

Ja robię to wyjątkowo dobrze

(Sylvia Plath, *Lady Łazarz*)

Nie sposób pisać o cieszyńskim festiwalu w ogólności, każde bowiem jego filmowe ogniwo potrzebuje osobnego potraktowania. Na uwagę zasługuje cykl Odkrycie Korei, w ramach którego widzowie zobaczyli m.in. Aca-cię w reż. Ki-hyunga, Good Lawyer's Wife Im Sang-soo, Bad Guy'a Kim Ki-duka czy wreszcie Old boya Park Chan-wooka.

I Złe wychowanie, i Twentynine Palms, a listę tę można wydłużać do imponujących rozmiarów, mają zatem tę cechę, iż stają się pretekstem do konstruktywnej krytyki, w sposób oksymoroniczny: łącząc dzieląc. Przypomina się Norwidowe: - Podzieleni wszyscy, a cali!...

Joanna Roszak

Era Nowe Horyzonty, Cieszyn, Czeski Cieszyn 22 lipca - 1 sierpnia 2004.



Zdjęcie pochodzi ze strony www.lipsons.pwp.blueyonder.co.uk, autor - Andrew Lipson - tworzy z Lego również inne ciekawe projekty, m.in. kolejne „rekonstrukcje” grafik Eschera.

czwarty drugi adar

powikłania po znajomości. w spadaniu pęka pęcherzyk graafa. zapalenie ucha. nakłuwanie. zaledwie chropowate szwy.

w swoim imieniu. w swoim ciepłym kraju. w swoim lipcu. cokolwiek zerowanie, wyzerowanie. zdania są podzielone. zdania nie dzielą się przez zero. zdania przestają się mnożyć.

ostatnie odcinki spada braillem w sam środek znanego. chuj ją obchodzi, o ile ten dzień jest krótszy od najdłuższego w roku, dłuższy od najkrótszego.

pod

spanie pod drzewem jak pod tobą. czytanie pod drzewem i kolejne odkrywanie dedykacji, szukanie śladów. śnieg uciska. rośnie inwentarz rozczarowań. uległość, przeciwległość. w którymś wierszu znajduję zapożyczoną od celana pustułkę. odkładam książkę. i już tylko przełącz kanapy: kropla z kropli na śniegu pościeli. tym samym i innym, i zupełnie innym. wapno się pieni, pieni się kolby i strączki. z nich jak z procy celujesz kolejne śnieżynki - znikają za rogami łokci. przygarniam cię się w nocy. noc przy otwartym oknie.

bermudzki kwadrat. ja: koło wpisane w kwadrat, za tobą na cztery strony. wcale nie jest ciężko. ty we mnie na trzy cztery. trzy czwarte nocy. im ciężiej tym lżej. tędy zbaczamy z drogi: zwarci. wszystko, co się dzieje, dzieje się w zwarciu. przebija dno. później nikt nie pyta, czy dobrze mi się spało. budzik na sygnale karetki. pod tobą - przepadam.

Joanna Roszak

Igrzyska inaczej

Do olimpiady, jak zresztą do wszystkich wydarzeń sportowych mam prywatnie stosunek obojętny. Prywatnie, bo służbowo tego typu wydarzenia przekładają się bezpośrednio na ilość roboty.

Przypadkowo, właśnie w ramach służbowych obowiązków, wpadła mi w łapki książka „Olimpijska Gorączka. Dzieje igrzysk inaczej”, autorstwa Włady-



śława Minkiewicza. Ta mocno archiwalna pozycja prowadzi czytelnika przez dzieje olimpiad. Poczynając od opisu tych antycznych, poprzez wszystkie kolejne nowożytne, kończąc na Seulu'88. Pomijając średnio fascynujące opisy poczynają „biało-czerwonych”, książka zawiera wiele ciekawych informacji o okołoigrzyskowych. Polityczne przepychanki, bojkoty i dyskryminacja. Tło historyczne i gospodarcze. Lasek miłości III Rzeszy i oddawane państwu „olimpijskie dzieci”. Mekskanin grożący samobójstwem w przypadku porażki, strzelcy wyborowi strzegący maratończyków, stronnicy sędziowie półolimpiad w Moskwie i Los Angeles, autostop na trasę kolarskiego wyścigu, gest Kozakiewicza, Polski Komitet Olimpijski na Uchodźctwie i wiele innych smaczków. Szkoda tylko, że brakuje trzech najnowszych olimpiad. Zapraszam do bibliotek. **Dis**

Uśpieni

Kolejny raz czuję się wyjebana w kakon, kiedy następny z moich znajomych znajduje pracę zgodną z jego zainteresowaniami. I to bez najmniejszego wysiłku. Zaczynam zawiścić byle gówna, nawet roznoszenia ulotek. Nie podjęłabym się takiej pracy, ale to nie stoi na przeszkodzie pytać się samej siebie: Dlaczego nie ja? W czym jestem gorsza? Gniję w domu i niszczyć. Ale ostrzegam rozżalonych: to nie jest kolejny tekst o złej sytuacji w Polsce, pasożytnym bezrobociu i chamskiej elicie rządzącej. To jest tekst, słuchaj i patrz, o nieszczęściu, jakie spotkało paru moich znajomych i które można byłoby już nazwać zjawiskiem społecznym, gdyby nie fakt, że rozumie je tylko garstka osób poza samymi zainteresowanymi.

Gośka, Michał i Paula nie mają pracy, tak samo jak ja. Nie liczę już, od kiedy nie pracuję. Uczymy się zaocznie, zresztą jest to już nasza kolejna przeprawa przez oświatę. Za każdym razem obiecujemy sobie, że ostatnia. No nie żebyśmy nie dawali rady SKĄD, zazwyczaj bez szczególnego wysiłku osiągnęliśmy efekty, na które inni musieli ciężko pracować. Szkoły po prostu nam nie podpasły i tyle. Pracy też nie mamy i nie szukamy tak jak byśmy mogli. Nie zarejestrowani jako bezrobotni, nie wertygując gorączkowo ogłoszeń, nie biadolący na złą politykę. Przez społeczeństwo postrzegani jako lenie, nieroby i darmozjady, bo jak to można mieć tyle lat i ciągle siedzieć na garnuszku u rodziców. Moja sytuacja jest jeszcze gorsza, bo od 2 lat jestem na utrzymaniu mojego chłopaka, co już zakrawa o jakieś kobiece zboczenie (Matko! W tych czasach! W moim wieku! Z moimi możliwościami!). Zarzut, że go wykorzystuję to norma. Co z tego, że jestem ekonomiczna w utrzymaniu: ubrań kupuję mało, bo większość szyję albo przerabiam, dobrze gotuję, umiem się sama obciąć i ufarbować włosy, odnawiam meble, robię remonty i to wszystko ze świetnym skutkiem. Teoretycznie koszty utrzymania zwracają się. Pieprzona księżniczka - myślę o sobie mimo wszystko w te gorsze, pochmurne dni. Lukas pociesza mnie jak może: „Znajdziesz pracę, tylko musi być tak wyjątkowa jak ty”

Szukam w głowie jakiś pojebanych, niemiłych i niewdzięcznych zajęć, ale nic, co by mogło swą „wyjątkowością” do mnie pasować nie przychodzi mi do głowy. Pocieszam się, że na wszystko potrzebuję więcej czasu: późno znalazłam sobie chłopaka, długo szukałam odpowiednich studiów, na pracę też muszę poczekać. Kurwa. Siedzę z Goską w parku i sama nie kumam. „Jesteśmy zdolne” - mówi Gośka, „Zobacz ile potrafimy: możemy góry przenosić”. „Umieję pisać...” - Wylicza - „...układać glazurę, znam się na hydraulice, współpracowałam z wieloma ga-

zetami. Mogłabym robić wszystko”. Ale nie robi nic. Tak jak ja.

Michał ma podobny problem: „Chciałbym się urodzić z jednym, wyklarowanym talentem” - mówi z żalem. „Jak ja kurwa tym ludziom zazdrościć! Szczyłe mają po 16 lat i wiedzą, że chcą być lekarzami, zdają na medycynę i całe życie ułożone jak kłocuszki lego w rozkwicie popularności. Ja mam 27 lat i dalej nie wiem, co z sobą począć”. Mają wiele talentów, więc teoretycznie mogliby w nich przebierać jak w worze z grochem. „Może i mam wiele talentów, ale niczego nie potrafię zrobić perfekcyjnie. Umieję malować, ale jest mnóstwo ludzi po plastyku, którzy robią to lepiej ode mnie, kto mi da układać glazurę skoro większość mężczyzn robi to tak samo jak ja albo lepiej” - twierdzi Gosia. Chcieliby mieć jeden talent, a być jego pewnym. We wszystkim są średni, pomimo, że wszyscy na oko im zazdroszą, bo nie potrafią robić tyle rzeczy. Ale nie można robić wszystkiego i trudno zdecydować się na jedną rzecz, w której tak jak w pozostałych jest się po prostu średnim. Gdyby jednak problem polegał na wiecznym poszukiwaniu swojego miejsca to tekst miałby inny tytuł. Ci ludzie nie potrafią zdecydować się na poszukiwania. Mają tysiące planów, całkiem niezłych, ale cała bajka kończy się na opowiadaniu o nich znajomym. Tyle entuzjazmu a starcza tylko na tę krótką chwilę marzeń i zaklania się, że teraz to już na pewno doprowadzą je do końca. Nie chodzi również o lenistwo ani słomiany zapał. Kiedy prosi ich się o pomoc w czymkolwiek są szybcy i zdecydowani w działaniu. Potrafią postawić na nogi cały świat dla pomysłu przyjaciela, ale nie dla siebie.

Zresztą lenistwo i słomiany zapał można przełamać. Oni są jak skamieliny, nie sposób ruszyć z miejsca, biec z czasem. Jednak nie w środku: pełni emocji i pasji spalają się w beczynności patrząc jak cały świat obok idzie do przodu. Mogliby wszystko, nie mogą nic. Każdy z nich ma w sobie wielką siłę. Kiedy patrzę na nich z boku wierzę, że mogliby tyle zrobić, nie widzę przegranych ludzi steranych niepowodzeniami. „Nie wiem, dlaczego tak mam. Może nie wierzę w siebie, w to, że mi się uda?” Mówi narcystyczna Paula I aż trudno w to uwierzyć. „Nie mogę nawet zacząć. Wszyscy mówią idź, spróbuj. Ja nie umiem. Coś trzyma mnie w środku i nie chce puścić do przodu. Nawet, jeżeli uda mi się przełamać na początku, padam tuż za rogiem. Potrafię przekonać siebie i znajomych, którzy mieli mnie wspierać, że to nie ma sensu. Argumentuję tak świetnie, bo sama wierzę w to, że tym razem nie daję dupy, ale wycofuję się, bo to nie miejsce dla mnie. Żeby, chociaż ktoś mi podał rękę i pomógł zacząć. Powiedział mi: masz tu pracę, będziesz czyścić antyki, wierzę w ciebie,

to byłabym w tym dobra i odnalazłabym się w takim zajęciu. Sama nie potrafię wybrać, nie umiem zacząć, brak mi siły i przebojowości. Jak na złość nikt nie chce mi pomóc, wszystko dzieje się poza mną, jakby mi życie uciekało między palcami. Moi znajomi robią kariery, znam wiele popularnych osób i nic. Ja pomagam ile mogę. Nie żebym miała pretensje. Ale czasem jest mi głupio, kiedy proszę, a nikt nie odpowiada.”

Nie potrafią się przebić przez własny lek. Są jak wyścigowe samochody z dużą mocą, którymi stary dziadek co niedziele jeździ do kościoła 30 km na godzinę. Spalają się i niszczą emocjonalnie w tym tkwieniu w nieróbstwie. Nie potrafią odepchnąć się od krawężnika i wyrwać do przodu. Jakby zakochać się w nieodpowiedniej osobie. Masz pod skórą tyle miłości, że cię rozsądza, niestety nie masz jej komu ofiarować. I tak z czasem spala cię od środka. Chcą i potrafią ciężko pracować. Mają dokładnie sprecyzowane, czego... nie chcą robić. Do szczęścia brakuje im tylko jednego elementu: pracy, nawet nie zarobkowej. „Nie zależy mi na kasie” - mówi Paula. Nie potrafią się przełamać żeby starać się o chałturę, sprzedawać siebie, nawet za wysoką cenę. Kiedy ich obserwuję, widzę, że są uśpieni bardzo niespokojnym snem, jakby śnił im się koszmar, wyszarpani przez ambicje i niespełnieni, nie umiejący rozpocząć swojego życia, znaleźć swojego miejsca.

kari owca
(papamobile@interia.pl)



